

Michał Śmielak

WNYKI

KOŚCIÓŁ CHRYSUSA MŚCIWEGO

Copyright © 2021 MICHAŁ ŚMIELAK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2021 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW
Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ
Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB
Konsultacje: IZABELA NESTIORUK

Fotografia wykorzystana na okładce:
CARLOS CAETANO / ARCANGEL

WYDANIE I
ISBN 978-83-66328-60-0



Wydawnictwo INITIUM
www.initium.pl
e-mail: initium@initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium
Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

Michał Śmielak

WNYKI

KOŚCIÓŁ CHRYSYTA MŚCIWEGO

*I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?*

W. B. Yeats – *Powtórne przyście*



KRAKÓW 2021

PROLOG

Upały miały dopiero nadejść i pozbawić świat tchu, a w prowincjonalnym kościółku Jezus Chrystus, wciąż jeszcze przybity do krzyża, miał dopiero z niego zejść, by wymierzyć sprawiedliwość grzesznym. Ale tego dnia wszystko, co ważne na świecie, działo się przy niewysokim kamiennym murku otaczającym kościół i cmentarz we Wnykach. Opierał się o niego starszy mężczyzna, składając ręce jak do modlitwy, a Kosma tkwił tam, zły na siebie, tak że nie zauważył jego przybycia. Obcy pojawił się jakby znikąd, stanął obok i bez słowa przywitania po prostu wpatrywał się w nieduży kościół, który niczym kot przycupnął na skraju lasu. Trwali tak w ciszy i napięciu, prawie jak w oczekiwaniu na pierwszy gwizdek meczu otwarcia, o wszystko lub o honor.

– Zabiłbyś pan dla mnie proboszcza? – zapytał spokojnym głosem przybysz, ot tak, jak się pyta o mijający dzień.

Kosma spojrzał na potencjonalnego zleceniodawcę pierwszego w swoim życiu zabójstwa, całkiem zwyczajnego mężczyznę przed sześćdziesiątką, kiepsko ubranego, nieogolonego, lecz niewyglądającego na menela.

– Co pan?! – oburzył się nawet trochę przesadnie, ale chyba tak wypadło.

– A to nie było sprawy – rzucił tym samym, spokojnym głosem mężczyzna. – Nie było pytania.

Nastąpiła niezręczna cisza, której nikt nie chce zazwyczaj przerywać w obawie o słowa, które wskutek tego mogłyby paść z ust drugiej osoby. Mogą one przecież stanowić o sensie kolejnych lat.

– Dlaczego chce pan go zabić? – zapytał wreszcie Kosma, bojąc się, że mężczyzna odejdzie, pozostawiając go z nierozwiązaną zagadką planowanego zamachu na księdza.

– Ja? – zdziwił się. – Nie, ja nie chcę. Po prostu uważam, że on powinien zginąć.

– Czy ja panu wyglądam na mordercę?

– Broń Boże, nic z tych rzeczy – odparł obcy, wyraźnie zmartwiony faktem, że mógł kogoś urazić.

– To co pan z tym pytaniem...

– No bo tak wychodzi, że pan go możesz zabić.

– Jak wychodzi?

– Statystycznie. Otóż słyszałem, że jeden na dziesięciu ludzi to jest taki, że może zostać mordercą. Geny, panie, czy coś takiego. Pytałem już ośmiu, nikt nie chciał, no to pan powinien chcieć.

– Jak ośmiu, to jeszcze jeden został, jest nadzieja. – Kosma wdał się w niecodzienną polemikę.

– No, ośmiu i ja, czyli dziewięciu. Pan jesteś dziesiąty.

– Niby ze statystyką się nie dyskutuje, ale zmartwię pana, nie zabiję proboszcza. Dlaczego miałbym to zrobić tak w ogóle?

Mężczyzna przeciągnął się i ponownie oparł o murek. Cały czas wpatrywał się w kościół, chyba szukał odpowiednich słów.

– To zły człowiek. Naprawdę zły. Tak jak złe są te noce, gdy wybuchają rewolucje, jak złe są domy, w których od lat ludzie popełniają samobójstwa. Zły. Należy mu się.

– To chyba policja powinna się nim zająć?

– Daj pan spokój... – Machnął ręką w ten lekceważący sposób, typowy dla wszystkich, którzy zdają sobie sprawę, jak działa ten świat.

– Skoro wszyscy wiedzą...

– Pewnie, że wiedzą. Dlatego tutaj jest. Bo to zły człowiek w złym miejscu. I nie chodzi o to, że w niewłaściwym. Bo to właściwy człowiek we właściwym miejscu. Czasem się mówi, że ktoś został powołany do tego czy tamtego, ale mówi się tak tylko o tych dobrych. A ci źli też są powoływani. Ktoś musi robić złe rzeczy w złych miejscach.

Kosma powoli dochodził do wniosku, że trafił na lokalnego wariata, ostatecznie samozwańczego filozofa. Czy taki ktoś może mu pomóc w zadaniu, które go tutaj czekało? Można zacząć od wariata, czemu nie.

– Pokrętna logika – zgodził się. – I straszna zarazem.

– Straszna – przytaknął mężczyzna bez specjalnego entuzjazmu. – Dlatego pytam, czyby pan go nie zabił. Sprawiedliwości stanie się zadość. Przemyśl pan to jeszcze raz.

– Nawet w obliczu tych faktów nie skuszę się na pana propozycję – odpowiedział Kosma.

– No nic. – Mężczyzna lekko odbił się od murku i otrząpał ręce z pyłu. – Jezus sam to pewnie załatwi.

– A nie lepiej jednak policja? – rzucił Kosma, chcąc przedłużyć konwersację, bo facet ewidentnie zbierał się do drogi.

Niby wariat, ale dyskusja była co najmniej ciekawa. – W końcu Bóg sprawiedliwy, ale nierychliwy.

– O nie, tu się pan mylisz – odpowiedział mężczyzna szybko i po raz pierwszy na niego spojrział. – Nie tutaj. Wiesz pan, jak nazywają ten kościół?

– Na tabliczce jest napisane, że Chrystusa Króla.

– Tak napisane. Ale jak nazywają? – Obcy zmrużył oczy, co ozdobiło jego zmęczoną twarz szalonym i nieprzewidywalnym korytarzem zmarszczek.

– No nie wiem.

– Chrystusa Mściwego. Tak mówią.

Oparł się ponownie o murek i wlepił wzrok w świątynię.

– Mieszkańcy? – zapytał Kosma.

– Tak. Ale nie tylko...

– Skąd to się wzięło? Ta nazwa.

– Bo tutaj kara następuje szybko. Jakby istniał ktoś, kto testuje działanie Sądu Ostatecznego właśnie tu, we Wnykach, w tym kościele. Jezus.

– Jezus? – Kosma zaczynał mieć pewność, że jednak ma do czynienia z wariatem.

– Tak, ten tutaj, z kościoła. Wisi na krzyżu, przybity, jak trzeba, ale czasem z niego złazi i idzie wymierzyć sprawiedliwość. Stąd mówi się, że to kościół Jezusa Mściwego.

Mężczyzna ponownie się odwrócił i spojrział Kosmie w oczy.

– Widzę, że pan jesteś człowiek małej wiary, nie wierzysz mi. Ale uwierzysz...

Mężczyzna przeciągnął się, machnął ręką – chyba w geście pożegnania – odwrócił się na pięcie i odszedł. Kosma

odprowadzał go wzrokiem do momentu, gdy ten zniknął za zakrętem leśnej drogi. Zastanawiał się nad rozmową i nad tym, ile w niej było paplaniny szaleńca, a ile prawdy. Podobno wariatami zwie się ludzi, którzy cały czas mówią prawdę.

Wkrótce miał się przekonać, ile racji jest w tym powiedzeniu.



Kilka dni wcześniej

Gabinet biskupa Mariana Kawęckiego wręcz zmuszał do postawy pokornej i pełnej uległości. Wszystko tutaj było ciężkie, zabytkowe, a już na pewno bez wyjątku cholernie drogie. Poczucie własnej wartości szarego człowieka atakowały obrazy, arrasy, lichtarze, wiekowe meble, grube dywany i – jako główny oprawca – olbrzymie biurko, przy którym bez wątplenia coś musiał podpisać Piłsudski, Kościuszko albo inny narodowy bohater. Patrzyłeś na ten mebel i już wiedziałeś, że jego historia kładzie na łopatki całe dzieje twojej mizernej rodziny. Zwykle pieprzone biurko przedstawiało sobą więcej niż drzewo genealogiczne przeciętnego rodu Kowalskich. Równość, wolność i braterstwo, psia jego mać!

– No siadaj, Gabrysiu, siadaj. – Biskup zwrócił się do Kosmy niezwykle protekcyjnie, ale miał do tego pełne prawo. Był jego wujkiem i zawsze używał jego pierwszego imienia, którego Kosma nienawidził. Idąc za przykładem Wołodzyjowskiego, zaczął zatem używać drugiego imienia. Ale chłopak zawdzięczał wujkowi w życiu tak wiele, że pewnie i jego

wnuki nie będą w stanie spłacić tego długu. Oczywiście jego wnukom.

– Weźmiesz sobie urlop, wiesz? – Biskup niby zapytał, ale raczej stwierdził fakt. Nie miało całkowicie znaczenia to, że Kościół katolicki i policja to dwie różne instytucje. Jeśli wujek mówił, że Kosma bierze urlop, to właściwie mógł się zacząć pakować. Wypadalo protestować?

– Urlop? – zdziwił się dla zasady.

– Dokładnie, Gabrysiu. Pojedziesz do takiej małej miejscowości w górach, nazywa się Wnyki, niedaleko Jeleniej Góry. Jest tam pewna niejasność, którą trzeba sprawdzić, że tak powiem: zbadać. Wiesz, Gabryś, tak po policyjnymu.

– No, ale jak jestem na urlopie, to nie mogę działać służbowo – zaprotestował nieśmiało Kosma i już kończąc to zdanie, wiedział, że palnął głupotę i lepiej było się nie odzywać. Niestety język zawsze miał szybszy niż głowę, dlatego wywalono go z wielkim hukiem z seminarium.

Biskup Kawęcki poczuł chyba to samo, bo odchylił się na fotelu z lekkim uśmieszkiem i kontynuował niezrażony:

– Został tam odesłany ostatnimi czasy pewien młody ksiądz. Wiesz, na takie wakacje, odpoczynek, kontemplację. Coś jak Jezus na pustynię. Miał sobie wszystko spokojnie przemyśleć, co robił dobrze, a co niekoniecznie, porozmawiać z Bogiem, odnaleźć go na nowo. Takie pustelnie robią dobrze młodym i niepokornym umysłom, Gabrysiu.

Spojrzał wymownie w stronę siostrzeńca, po czym sięgnął do szuflady. Wyjął z niej sporych rozmiarów saszetkę i położył na biurku.

– Chłopak w trakcie tego zbawiennego dla jego duszy odpoczynku zniknął – westchnął biskup, jakby opowiadał raczej o losach serialowej postaci niż o prawdziwym zaginięciu.

– Tak po prostu? – zapytał Kosma.

– Tak po prostu – przytaknął biskup. Przesunął w jego stronę saszetkę. – Tutaj masz trochę rzeczy, które ci pomogą w całej sprawie. Żebyś tam nie biedował, ale i nie rzucił się za bardzo w oczy. Masz urlop bezpłatny, nie chcę, żebyś był stratny. Nie będę zresztą uczył policjanta, jak ma działać. No i zdjęcia chłopaka, jakieś tam notatki, kancelaria wszystko przygotowała.

– Co się z nim mogło stać? – zapytał Kosma odważnie, uruchomił mu się od razu mechanizm śledczego i zamiast wujka Mariana widział teraz przed sobą ważnego świadka w nowo prowadzonej sprawie.

– Miejmy nadzieję, że nic straszego. Podobno zniknął, zabierając ze sobą wszystkie rzeczy. Uciekł niby. Ale ja tego chłopaka dobrze znam, Gabrysiu. Bardzo dobrze znam. Wiedział, że po burzy zawsze wychodzi słońce, że jeśli wytrzyma i wróci, to będzie dobrze. Nie uciekłby, obiecał mi to.

No tak, obietnic składanych wujowi się dotrzymuje, bo on dotrzymuje swoich. I trzeba mieć dużo szczęścia, żeby móc mu jakkolwiek złożyć.

– No i żeby była jasność, ta parafia, do której trafił, to nie jakiś Sybir. To normalna, spokojna miejscina, z dość sporą trzódką i do tego całkiem przywiązaną do swoich pasterzy. Z dała od zgiełku wielkiego świata, ale za to dużo bliżej Boga.

– Czyli wiemy, że nic nie wiemy – podsumował Kosma.

– Gabrysiu, gdybym coś wiedział, to posyłałbym tam ciebie? Czego uczą w tej policji? Gotów jestem pomyśleć, że zostawiłeś ten swój bystry umysł w seminarium. Ależ byłby z ciebie ksiądz! Rzym czekał z otwartymi drzwiami, a ty musiałeś mi narobić takiego wstydu.

Wuj Marian wypominał mu przy każdej okazji porzucenie kariery duchownego, nazywał to nawet całkiem otwarcie zdradą. Był jednak bardzo rodzinnym i kochającym człowiekiem, mimo gniewu i smutku pomagał Kosmie, jak tylko potrafił.

– Rozumiem, że nie muszę stawiać się na komendzie, mogę jechać prosto na miejsce?

– Tak, Gabrysiu, no i ile by ci tam nie zeszło, to się niczym nie martw. Tutaj wszystko jest załatwione.

Oczywiście, że załatwione. Skoro biskup mógł zorganizować niedoszłemu księdzu etat w policji, i to od razu w dochodzeniówce, to co za problem załatwić mu urlop.

– Dlaczego tam trafił, na tę kontemplację?

– Potrzebował oddechu.

– Wujku, nie mam dziesięciu lat i jakby ci umknęło, pracuję w policji. Przy rodzinnym obiedzie możemy sobie gawędzić o byle czym, dogryzać cioci Eugenice z powodu staropanieństwa, ale teraz potrzebuję konkretów. Skoro wysłano go na takie wakacje, to coś nawywijał. Skoro zniknął, musiał mieć powód. Ponad wszelką wątpliwość jedno może łączyć się z drugim.

– Gabrysiu, zaufaj mi, powód jego zniknięcia i ten, wskutek którego trafił do Wnyków, nie mają żadnej korelacji.

– Wolałbym sam o tym zdecydować.

– Synku, jeśli nawet pojedziesz dzisiaj w miejsce, z którego go relegowano, i zapytasz kogokolwiek o księdza Piotra, to wszyscy jak jeden mąż będą go chwalić i żałować jego odejścia.

– A jednak zblądził!

– Tak, zblądził. Jednak dzięki opatrności Bożej zdążyliśmy go złapać za rękę, nim spadł z wysokiej skały.

– Podpadało to pod kodeks karny? – zapytał wprost Kosma.

Wuj spojrział na niego zimno, nieznacznie się skrzywił w grymasie niechęci. Na co dzień otaczał go wianuszek pochlebców i współpracowników, których traktował niemal jak służących. Nie był przyzwyczajony do niewygodnych pytań, takich, jakie zadają policjanci czy na przykład dziennikarze, podła kasta obierająca sobie ostatnio za cel Kościół katolicki.

– Ksiądz Piotr Dębicki nie zrobił niczego, co mogłoby skompromitować ciebie jako policjanta zajmującego się tą sprawą. Nie wszystko, co złe, zawarte jest w kodeksie karnym. Możemy na tym zakończyć temat.

Kosma już wiedział, że niczego więcej od niego nie wyciągnie, będzie musiał zabrać się do policyjnej roboty i same-mu odkopywać prawdę. Ruszył w stronę drzwi, lecz tuż przed chwyceniem za klamkę osadził go w miejscu głos wuja, nieco bardziej szorstki niż dotychczas.

– Dzwoniłeś do matki?

No tak, a już miał nadzieję, że nie poruszą tego tematu.

– Sam wiesz, że dzwoniłem. I że nie odbiera.

– Gabryś, to twoja matka. Może nie odbierać, mówić różne rzeczy, jednak nadal cię kocha ponad życie.

– Ona kocha tylko Jezusa.

– Może pojedź do niej – zasugerował wujek Marian, jakby nie słyszał uszczypliwości z ust siostrzeńca. – To dla niej ciężkie.

Kosma odwrócił się w jego stronę.

– Do widzenia, wujku. – Zamykając drzwi, usłyszał jeszcze:

– Z Bogiem, synu.

I tak przypieczętował swój los.

DZIEŃ PIERWSZY

Wnyki powitały go świeżą wiosną, królującym wszędzie fioletowym i białym bzem, natarczywie żółtymi mleciami i innym kwieciami, którego nazwy prawdziwy mężczyzna raczej znać nie powinien. Nawigacja prowadziła go jak po sznurku przez senne zaułki, tak odmienne od ulic Warszawy, że w mieszczeniu z krwi i kości budziły wręcz lęk. Dokładnie o tej godzinie – a było tuż po dziewiątej – stolica łapała drugi oddech. Z ulic znikwały korki, a chodniki wypełniały się mamami, babciami i opiekunkami wytrwale pchającymi wózki w stronę nowych placów zabaw, nadając dzięki temu nieco człowieczeństwa świeżo postawionym osiedlom. We Wnykach za to cisza i spokój, nawet blakającego się psa nie uświadczysz.

Długa ulica główna skupiała wszystko, co można zamknąć w hasło „chleba i igrzysk”. Stadion z nierówną i średnio zadbaną murawą okolony drewnianymi ławeczkami, łuszcząca się farba oznajmiała przyjeźdźcom, że niezwykłe są barwy żółto-zielone. Stojąca po sąsiedzku szkoła – raczej skromna, parterowa, z przylegającymi przedszkolem i żłobkiem. W ustawowej odległości od szkoły, umożliwiającej sprzedaż napojów wysokobrowarowych, rozgościł się sklep, dość popularny, choć nie było przed nim ławeczki okupowanej przez lokalną lożę szyderców, zamiast tego właściciel zafundował strudżonym klientom kilka rzucających cień na drewniane

stoliki parasoli. Pewnie tak samo jak w całej Polsce, sklep był obowiązkowym punktem odwiedzin po niedzielnej mszy, a nie godzi się przecież, aby wierni podpierali świeżo wypranymi koszulami sklepowe mury. Kościół znajdował się na dalekim końcu ulicy, gdzie asfalt ginał w pojawiającym się z całą mocą wiosennej zieleni lesie.

We wsi nie mogło zabraknąć remizy Ochotniczej Straży Pożarnej, czyli centrum rozrywek wszelakich, miejsca zebrań lokalnej społeczności, w niektóre soboty przeistaczającego się w klub nocny, a w zależności od tego, czy ktoś się rodził, żenił, czy umierał, w salę restauracyjno-balową. Z okien samochodu wszystko wyglądało sielsko i zwyczajnie, choć może jednak nie do końca, bo brakowało krzykliwych reklam. Parasole przed sklepem nie reklamowały żadnego browaru czy dostawcy wysoko słodzonych napojów, szyld nad wejściem do baru był drewniany i schludny, chyba nawet ręcznie malowany. Fasada remizy pięknie odmalowana w delikatny odcień żółci, czysta i zadbana. Jakoś tak nie po miejsku, nie po polsku.

Kosma miał zarezerwowany nocleg w jedynej agroturystyce w okolicy. Zaskakujące, że miejscowość w górach nie rzuciła się jak wszystkie sąsiednie na turystów i ich pieniądze. Wręcz oaza niepolskości w krainie wyciskania klienta do ostatniej kropli debetu. Skalę zjawiska poznał, objeżdżając Tatry motocyklem (okres pomiędzy seminarium a policją, czas przemyśleń i spożywania nieprzyzwoitych ilości alkoholu). Podróż przez Słowację to relaks i piękno, nikt nie próbuje cię rozjechać na drodze, a jeśli ktoś łamie przepisy i wyprzedza w terenie zabudowanym, to musi mieć polskie blachy.

Przejazd przez słowackie miejscowości przypomina widok bawarskich krajobrazów, zadbane domki, czyste i zamiecione ulice, schludne ogródki przy restauracjach. Przekroczenie granicy z ukochaną Rzeczpospolitą przenosi cię od razu do świata sfrustrowanych mistrzów kierownicy, a każdy piękny widok przesłaniają stragany z oscypkami, ciupagami i Janem Pawłem II w milionie odsłon. Jeśli na Słowacji ktoś rozłoży stragan, to najpewniej Polak. Staliśmy się ludem koczowniczo-jarmarcznym, bez dwóch zdań i cienia wątpliwości.

Wnyki były inne. Ten pierwszy symptom niezwykłości miejsciny – pierwsze ostrzeżenie – został przez Kosmę kompletnie zignorowany. Jak i pozostałe. Jednak ostrzeżenia mają to do siebie, że przychodzą cicho i niepostrzeżenie, jak kolejne spóźnione do kina osoby, które po seansie tworzą już tłum.

Kwaterna znajdowała się w uroczym domku schowanym za płotem okupowanym przez budzącą się do życia winorośl. Kilka popękanych, lecz zamiecionych schodków, skrzypiąca furtka, chodniczek ze starych płyt, jakoś bardziej przyjaznych dusz niż wszędochyjska kostka brukowa. Przed drewnianym domkiem na ławce drzemała babcia okutana w klasyczny strój domowego superbohatera: podomkę. Nie obudziło jej skrzypienie furtki, pochrapywała cichutko, przechylona na prawą stronę.

– Dzień dobry – przywitał się Kosma niebyt głośno, by nie wystraszyć gospodyni.

Kobiecina drgnęła, otworzyła oko, po chwili drugie i zerwała się na równe nogi, zakładając jedną ręką okulary, a drugą szukając czegoś w kieszeni fartucha. Poszukiwania zostały zwieńczone sukcesem, bo wyjęła z triumfującym uśmiechem

lekką wymiętą kartkę, odsunęła ją nieco od siebie, zmierzyła gościa wzrokiem od stóp do głów, odchrząknęła i zaczęła czytać:

– Dzień dobry. Dom jest bardzo ładny, podpiwniczony, całości sto dwajścia metrów. Pokoje są cztery, poza tym salon, kuchnia, no i garaż. Jest prąd, woda i szambo całkiem nowe, co za bardzo nawet nie śmierdzi i nie wybija. Internet też możecie mieć. A jakie sąsiedzi spokojne, olaboga. – Babcia teatralnym gestem przyłożyła rękę do policzka i pokiwała głową na boki, po czym kontynuowała wywód: – Ciche są i nie wadzą nikomu, bardzo niepijące, a i będzie z dwajścia lat z okładem, jak żeśmy się ostatni raz pobili, to i nie ma się co bać.

Odsunęła kartkę, rozejrzała się, jakby szukała podsłuchu, nachyliła się lekko i dodała szeptem:

– Tym bardziej że stary siedzi za alimentami, więc całkiem spokój.

Wzrok wrócił na kartkę.

– Do sklepu blisko, a i do kościoła, do szkoły, remiza obok, samo dobro, powietrze czyste, nie krakowskie. – Tutaj pogroziła palcem. – Nic, tylko kupować, mieszkać, dzieci rodzić.

Po ostatnim argumente ponownie otaksowała gościa czujnym wzrokiem.

– Jedyne trzysta tysięcy i możecie brać – dodała lekko wątpięcym głosem, chyba przeczuwając, że nie stoi przed nią kupiec.

– Dzień dobry pani. Zasmucę, ale ja tylko na pobyt.

– A, letnik! – Nie wiadomo, czy się ucieszyła, czy zmarła. – A to dzień dobry, wchodźcie do środka, pokój pokażę.

Bo widzi pan, biznes z letnikami to taki średni tutaj, wiadomo, to chyba czas chałupę sprzedać i do córki do miasta iść. Tam ciepło, palić w piecu nie trzeba, bo wszystko ze spółdzielni mają. Kartkę mi wypisała, bo ja tam nie wiem, co mówić, a ona teraz gada, że ten, no, marketing najważniejszy.

– Ma rację. Właśnie zauważyłem, że tak z turystami to wam nie po drodze we Wnykach.

Gospodyni jakby nie zauważyła zaczepki, przeprowadziła go przez parter, minęli po drodze kuchnię i salon, po czym weszli na poddasze.

– A to będzie wasz pokój. – Otworzyła drzwi do schludnie urządzonego pomieszczenia, nie był to może mokry sen letnika, ale nie ocierał się także o dramat nieudanych wakacji w Egipcie. Łóżko, szafa, biurko, stolik z czajnikiem elektrycznym i dwoma w miarę czystymi szklankami. Do tego okno na ulicę, podstawa małowasteczkowego monitoringu.

– Ładny pokoik, w sam raz – pochwalił Kosma, niewiele kłamiąc, czym chyba uradował gospodynię.

– Będzie zadowolony. A na długo u nas?

– Jakiś czas. Zobaczymy, kiedy obowiązki wezwą do powrotu. Tydzień, dwa, nie więcej, jak sądzę.

– A to przyjechał na odpoczynek, taki wiosenny urlop?

– Trochę odpoczynku, trochę pracy – rzucił, starając się szybko uciąć temat. Postanowił nie obnosić się z faktem, że jest policjantem, choć pewnie prędzej czy później to wyjdzie.

– Artysta? – zapytała podejrzliwie, cofając się o pół kroku.

– Boże uchowaj – zaprzeczył żywiolowo. – Żaden artysta, właściwie niepijący.

– No to tak, to nie artysta. – Kobieta jakby się uspokoiła. Zmieszana schowała kartkę do kieszeni fartucha. – Różni tu bywają, szukają niby tej, no, weny. Pisarze najgorsi, chleją, nie gola się, wody po sobie nie spuszczają. Tylko klepią w ten komputer z takim wzrokiem, jakby po tej marihuaninie byli. W telewizji widziałam.

– No ja nie pisarz.

Gospodyni skinęła głową, powoli, jakby do końca nie wierzyła.

– Śniadania o siódmej, a obiad o czternastej. Mogę przygrzać na kolację, jak gdzie zabłądzi w górach.

– Dziękuję. – Kosma uśmiechnął się i zrzucił plecak na podłogę. – Ale dzisiaj w góry nie idę. Chcę najpierw zwiedzić okolicę. Słyszałem, że macie tutaj piękny cmentarzyk i ciekawy kościół.

Zamilkła i spojrzała z przenikliwością niezbyt często spotykaną w oczach starszych ludzi.

– Tak, mamy. Traficie bez problemu, bo to na końcu ulicy. Jak się w stronę remizy idzie.

Nie wspomniał gospodyni, że już dzisiaj odwiedził to miejsce i że pierwszą osobą, którą spotkał we Wnykach, był tajemniczy mężczyzna chcący zlecić mu morderstwo.

– A ksiądz proboszcz będzie? Albo wikary? – zapytał.

– Proboszcz pewnie tak, rano w ogródku siedzi albo przy winogronach, bo wino do mszy to sam robi.

– A wikary?

– U nas ksiądz sam. Mało nas, nieczęsto tutaj kogoś przywołują do pomocy, chyba by nie wyżył. Chrzcin i wesel niewiele. Więcej pogrzebów, jak to teraz.

– Takie czasy.

– Ano takie. Czyli obiad szykować?

– Szykować.

– No to z Bogiem. – Kobieta wyszła z pokoju i poczłapała na dół.

Położył torbę z laptopem na łóżku i rozejrzał się za dostępem do prądu. Kiedyś człowiek w hotelu kładł się najpierw na wyrku, żeby sprawdzić, czy wygodne, dzisiaj pierwszą czynnością stało się namierzenie gniazdek i podpięcie ładowarki, potem szukanie Wi-Fi.

Jaki plan na dziś? Od czego tu zacząć? Jako policjant mógł się schować za legitymacją i od razu większość drzwi się otwierała. Mimo wyssanej z mlekiem matki Polki nieufności do policji ludzie zazwyczaj współpracowali. Tym razem jednak postanowił obyc się bez tego – taka też była koncepcja po części uzgodniona z wujkiem Marianem, sługą Chrystusa w randze biskupa. Dzwonił do Kosmy po drodze i przekonywał, że to bardzo zżyta i spokojna społeczność, przed obcym policjantem zamkną się wszystkie drzwi, usta i serca. Co innego przed letnikiem, który po prostu czasem o coś zapyta. Poradził, żeby najlepiej uwiódł jakąś lokalną dziewczynę, to na pewno pomoże. No cóż, plan może i był dobry, ale chłopcy idący do seminarium najczęściej nie są mistrzami podrywu. Kosma nie stanowił wyjątku.

Oczywiście punkt pierwszy nie budził wątpliwości: trzeba po prostu zapytać proboszcza o to, co się stało z Piotrem Dębickim, miał już ułożony w głowie plan, który chyba nie będzie za bardzo naciągany. Co do kościoła, to liczył na ko-

ścielnego albo kogoś w tym rodzaju, którego będzie można delikatnie wypytać o to i owo. Sklep nie powinien stanowić problemu, w każdej małej społeczności to lokalna centrala wymiany wiadomości.

Zgarnął telefon, klucze, portfel i zbiegł do samochodu, po drodze nie napotykając gospodyni. Drogę do kościoła już znał, ciekawe, czy spotka ponownie w pobliżu tego oryginała? Może tym razem pociągnie go mocniej za język i dowie się czegoś więcej o Jezusie schodzącym z krzyża i wymierzającym sprawiedliwość. Fantazja ludzka nie zna granic, był nawet taki film, *Jezus Chrystus – łowca wampirów*. Oglądali go w seminarium w wielkiej tajemnicy, niczym małolaty porno w sekrecie przed matką. Skoro ktoś wymyślił dla zbawiciela rolę mordercy wampirów, to dlaczego nie mógł sprowadzić go do roli schodzącego z krzyża mściciela?

Pogoda była obłądna, wiosna krzyczała, ogłaszając wszem wobec, że jest latem, zagłuszając wszelkie głosy sprzeciwu. Spojrzał na samochód i postanowił ruszyć pieszo – przy okazji może kogoś się spotka, z kimś pogada? Tak, najpierw kościół i cmentarz. O sklep zahaczy w drodze powrotnej, od razu zrobi mały zapasik na wieczór, może jakieś piwko, konieczne konserwa, w końcu miał urlop, a co to za wczasy w górach bez konserwy tyrolskiej. Układając w głowie scenariusze rozmowy z proboszczem i kościelnym, maszerował poboczem, przez całą drogę nie niepokojony przez nikogo. Nie minął go żaden rowerzysta czy zapakowany do granic możliwości samochód z tradycyjnym polskim potworem urlopowym składającym się z wkurwionych rodziców i wrzeszczą-

cych dzieci. W końcu dojrzał znajomy murek, z lekka tylko przysłaniający kościół.

Cmentarz przyklepiony do kościoła był stary, jak stare są przygniecione do ziemi drewniane chatynki, zarośnięte trawą mury zrujnowanych dworców czy zapomniane przez świat krzyże na rozstajach nieuczęszczanych dróg. Nikt tu nie planował alejek, same znajdowały drogę wśród przysadzistych nagrobków i ziemnych mogił, praktycznie niespotykanych w większych miastach. Brak było wymyślnych rzeźb, marmurowych płyt, jarmarcznych zniczy i przerośniętych wieńców. Był za to spokój i wisząca w powietrzu pamięć o przodkach. No i niepozorna dziewczyna, bezszelestnie niczym duch przemierzająca alejki z dużym aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi. Zobaczyła Kosmę ostrożnie wchodzącego na teren cmentarza i z lekkim uśmiechem podeszła do niego, wyciągając rękę.

– Cześć. Jestem Maja. – Miała dźwięczny głos, naturalny uśmiech i delikatny makijaż. Burza rudych włosów podkreślała brąz oczu i idealnie współgrała z ciemną karnacją. Krótko mówiąc, urlopowany policjant poczuł, że się zakochuje od pierwszego wejrzenia.

– Kosma – rzucił krótko, nieco przestraszony jej bezpośredniością.

– Pięknie! – skwitowała z autentycznym entuzjazmem. – Jak ci bracia z *Potopu*, Kiemlicze. Im było Kosma i Damian, ale to pewnie wiesz.

Wiedział. Ale nieczęsto spotyka się kobietę, która czytała *Potop*. Miłość się pogłębiała.

– Robię dokumentację cmentarza, choć ksiądz proboszcz krzywo na to patrzy. No, ale wiesz, teraz cały świat jest w internecie, ja też chcę, żeby wszystkie okoliczne cmentarze tam się znalazły, tak interaktywnie, jak to teraz modne. No i użyteczne. Możesz sobie wstukać w wyszukiwarkę nazwisko prababci i sprawdzić, gdzie spoczywają jej prochy. Znaczy się na którym cmentarzu, a potem w jakim miejscu, alejce i tak dalej. Duże cmentarze to mają, więc czemu małe mają nie mieć? Szczególnie te skryte pośród gór i lasów. Tylko ktoś to musi zrobić, a to kawał roboty... A tych cmentarzy w okolicy sporo.

– A dlaczego proboszcz krzywo na to patrzy? – zapytał, żeby przerwać słowotok pięknej dziewczyny, ale też z ciekawości. No cóż, za dużo gadała, każdy musi mieć jakąś wadę.

– Bo on na wszystkie nowości warczy. A po co oświetlenie cmentarza, a monitoring niepotrzebny, bo kto tu coś ukradnie i tak dalej. Wiesz, tradycjonalista, taki typu: „kiedyś to były czasy, nie to co teraz, teraz nie ma czasów” – zaczęła przedrzeźniać tubalny męski głos, którym niewątpliwie kaznodzieja trafiał do serc parafian każdej niedzieli.

– No tak. – Chciał powiedzieć coś więcej, ale nie było mu dane. Maja nabrała powietrza i wpadła mu w słowo:

– Bo te interaktywne cmentarze to nie wzięły się tak znikąd. Współpracuję z Uniwersytetem Wrocławskim i spisuję dzieje tego regionu, bo strasznie mało o tym w kronikach, monografiach i innych opracowaniach. Wyobraź sobie, że o tej wiosce, znaczy się o Wnykach, to jest wspomnienie już w kronice Długosza, że wieś bogata i ma lat kilkaset, ale poza tym nic. Jakby nagle zniknęła i pojawiła się ponownie przed

wojną. No a proboszcz nie bardzo mi chce udostępnić księgi parafialne, a to skarbnica wiedzy. Mruczy tylko i odgania jak natrętną muchę. Na szczęście nie przegania i nie wzywa policji, a znajdują się i tacy. Może mnie toleruje, bo ja taka trochę miejscowa, moja babcia tu mieszkała, spoczywa na tym cmentarzu. – Wskazała jeden z nagrobków.

– Jesteś zatem taką regionalistką? – zapytał nieśmiało.

– Można tak powiedzieć. Miłośniczką regionu. Prowadzę na ten temat blog, Facebook i Instagram. Komplet. Proszę, oto moja wizytówka. – Wręczyła mu zielony kartonik. – Tam jest wszystko, też mój numer telefonu, jakbyś chciał się czegoś dowiedzieć, na przykład dokąd tu pójść na całodzienną wędrówkę albo na rower. Bo ty tu turystycznie?

– Tak jakby. – Na szczęście nie musiał nic więcej mówić, bo dziewczyna oczywiście uruchomiła się na nowo. To nie był typ kobiety, przy której może zapaść niezręczna cisza.

– No to świetnie trafiłeś. Piękne miejsce, spokojne, żadnych band rodziców z wrzeszczącymi dziećmi, straganów z badziewiem, ogródków piwnych. Tylko natura, zieleń, lasy, góry. W nocy to jest tutaj tak cicho, że można od tej ciszy zwariować.

Kosma nie sądził, aby przy tej dziewczynie można było zwariować od ciszy. Z kilku innych powodów niewątpliwie tak, ale cisza się do nich stanowczo nie zaliczała. Jakby na potwierdzenie tych słów Maja kontynuowała:

– I z miłości do tego regionu można oszaleć. Można tu odpocząć. Można popaść w romantyzm krańcowy, taki totalitarny. Nie wiem, czy rozumiesz, co to takiego, ale to roman-

tyzm niebiorący jeńców, nietolerujący wymówek, w imię miłości umiejący rozstrzelać każdego. No nic... No to ja idę, nie przeszkadzam w zwiedzaniu. Bo będziesz zwiedzał?

– Właściwie przyszedłem porozmawiać z proboszczem.

– Jest pewnie u siebie, bo widziałam, jak mi się przyglądał z okna. Tam, w tym domu. – Wskazała palcem mały budynek. – Właściwie innego tu nie ma. To jest plebania, skromna, ale ksiądz mieszka sam, chociaż ostatnio często ma gości. Pomaga mu tylko gosposia, taka dochodząca. Zobaczysz. Wredne babsko. Dzwonka przy drzwiach nie ma, jakbyś puknął i nikt nie wyjdzie, to śmiało wchodzi do środka, taki tu zwyczaj, nikt się nie obrazi.

– Dzięki za wskazówki. – Uśmiechnął się, miał nadzieję, że uwodzicielsko. – Na pewno dzisiaj odwiedzę wszystkie twoje strony. – Pomachał zieloną wizytówką.

– No raczej. Łajki są w cenie! I pamiętaj, jak coś, to dzwoń. – Obróciła się na pięcie i nie czekając na jego reakcję, energicznie ruszyła fotografować cmentarz.

Plebania stylem przypominała nieco przysadzisty szlachcki dworek, nieduży, z drewnianym, lekko omszałym dachem. Całość wyglądała na zadbaną, choć bez śladów nowoczesnych remontów. W oknie zafalowała firanka, czyli już pewnie wiedzą, że będą mieli gościa. Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarł. Z plebanii wyszedł starszy mężczyzna w błękitnej koszuli z koloratką, znoszonych dżinsach i kapciach. Miał na pewno więcej niż sześćdziesiąt lat, krótko przycięte siwe włosy i miękko znaczące twarz zmarszczki. Powagę nieco odbierały mu czerwony nos i uszy, jakby właśnie przed

chwilą wrócił z mroźnej wycieczki. Czujne oczy bacznie obserwowały gościa zmierzającego w stronę drzwi.

– Dzień dobry. Nazywam się Kosma Ejcherst – przedstawił się gospodarzowi, celowo pomijając zwyczajowe powitanie osób duchownych.

Odkąd opuścił progi seminarium, całkowicie odciął się od Kościoła i religii. Został świadomym ateistą, walczącym w ciszy antyklerykałem. Nie widział najmniejszego powodu, aby postępować według reguł narzuconych przez kler, każda z takich pozornie drobnych czynności, jak na przykład sformalizowane powitania z zachowaniem tytułów i godności kościelnych, była dla Kosmy przyznaniem się do niewolnictwa. Dodatkowo nie chciał się w żaden sposób odkryć przed proboszczem ze swojej seminaryjnej przeszłości, a wiedział, że niektóre zachowania ciągle go zdradzają, choćby intonacja głosu przy nieświadomym podśpiewywaniu. To już wołał, żeby wyszło na jaw, że jest policjantem. To żaden wstyd, a może pomóc w całej sprawie.

– Na wieki... – rzucił ksiądz chyba z przyzwyczajenia. – Zapraszam do środka, właśnie będziemy jedli obiad. – Odwrócił się i zniknął w domu.

Kosma wszedł za próg, zrzucił buty i założył jakieś gumowe klapki. Zapach gotowanych ziemniaków i smażonych kotletów wypełniał cały dom, w którego głębi widział przez uchylone drzwi krzątającą się gospodynię.

– Dzień dobry! – powtórzył głośno w kierunku kobiety. – Dla mnie proszę nie szykować, zamówiony mam na kwaterze.

– Gość w dom, Bóg w dom – odpowiedziała mu chuda i czerstwa kobiecina o ostrych rysach. Wymykała się stereotypom wyglądu wiejskiej gosposi, nie miała nadwagi i dobrotnego wyrazu twarzy. Wręcz przeciwnie, wyglądała jak pogromca grzeszników, ktoś, kim można straszyć dzieci, żeby były grzeczne, piąty jeździec Apokalipsy sprowadzający na ziemię plagę starcia uśmiechu z twarzy wszystkich ludzi.

– Śpicie u Walasiakowej? – zapytała suchym głosem.

– Tak.

– No to tym bardziej docenicie moją kuchnię. Walasiakowa fajna kobita, pobożna, złota dusza, ale gotować to nie umie. Pięknie za to śpiewa. Tu Bóg dał, tam zabrał, wiadoma rzecz. Siadajcie. Letnicy u nas rzadkość, coś tam opowiecie ze świata.

Kosma przeszedł za proboszczem do salonu urządzonego w starym stylu, ale ze smakiem i delikatnym przepychem. Bogactwo było ukryte w drobnych detalach, których zwyczajny śmiertelnik raczej nie dostrzeże. Zegar stojący w rogu musiał mieć przynajmniej dwieście lat, stół i krzesła też powstały w czasach, gdy Szwedzi okradali nasz kraj z mieczem w ręku, a nie jako pokojowi biznesmeni stawiali kolejne sklepy Ikea. Kosma siadł na wskazanym przez gospodarza krześle i z lekkim zdziwieniem zauważył, że zastawa stołowa jest z pięknej porcelany. Znał się na tym, bo jego babcia na każde urodziny ofiarowywała mu porcelanową filiżankę z Ćmielowa, przez co był właścicielem całkiem pokaźnej i wartościowej kolekcji. Sztućce były niewątpliwie srebrne, szklanki i karafka z nalewką kryształowe, komplet uzupełniały kieliszki o zielonej barwie, z tego, co wiedział, zrobione ze szkła uranowego. Także unikat i ciekawa rzecz.

Do pokoju wszedł nagle młody mężczyzna w spodniach od dresu i koszulce z napisem „O+CHU+J – Oficjalni Chuligani Jezusa – Szatan to Pała!”. Miał najwyżej trzydzieści lat i delikatną urodę w stylu Leonarda di Caprio, która bezspornie świetnie komponowała się z sutanną. Gospośnia spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Ksiądz niech też siada. Kto to widział dopiero na obiad wstawać. Grzech lenistwa.

– Eeee tam.

– Gościa mamy – powiedziała z wyraźną naganą w głosie. – Nie wypada tak.

Chłopak obrzucił Kosmę spojrzeniem błękitnych oczu. Uśmiechnął się lekko, nalał sobie do szklanki kompotu z dużego dzbanka.

– Gościa? – zapytał z nutą ciekawości.

– A tak, gościa – odpowiedziała gospodyni. Proboszcz milczał, jakby nie zauważając całej sytuacji.

– Też na wakacje przyjechał?

– Nie, zje z nami, powie, co tam w świecie słychać.

– Niech Lucynka da spokój, wieści ze świata to teraz w telewizji są, w internecie.

– W telewizji to mówią to, za co im płacą – obruszyła się gospośnia. – A jak ludzie przyjadą, siadą, zjedzą, napiją się, to i mówią, jak jest. Z pełnym brzuchem łatwiej się rozprawia o problemach tego świata. A i trudniej kłamać. Tam w tej telewizji same chudzielce, suchotniki. Wiecznie niedożywione, na tych dietach, hipermarketowych wynalazkach, sałatkach. Tak, wiecznie tylko te sałatki jedzą. I o suchym pysku, wodę

tylko piją. To jak taki wiecznie głodny i trzeźwy człowiek może coś prawdziwego powiedzieć, jak życia to on nie zna? Nic nie może powiedzieć i słuchać takiego nie warto. – Zakończyła swój wywód, stawiając z hukiem na stole wazę z zupą.

– Co też Lucynka mówi – prychnął młody ksiądz. – Tam właśnie znają życie, bo tam się życie dzieje, to tam kopią świat, żeby się kręcił. Tutaj nawet nie czuć, że on się rusza.

– Jedyne, w co ten świat mogą kopnąć, to w dupę – skwitowała gospoia. – Bo wyżej nie dostaną.

– Lucynko! – odezwał się w końcu proboszcz. – Wyrażaj się przy gościach.

– Ksiądz mi tu nie lucynkuje, tylko siada. Zupa gorąca, kotlety dochodzą. Dobrze, że mi ksiądz powiedział, że gościa na obiedzie pewnie będziemy mieć, to dobiłam kotletów. Tak to byłby wstyd.

Wszyscy troje spojrzeli na Kosmę. Gospoia zimnym wzrokiem, ale chyba taki miała zawsze, drobne, głęboko osadzone oczka wyglądały niczym sztuczne paciorki. Proboszcz miał twarz niby bez wyrazu, ale po kącikach ust błąkał mu się delikatny uśmiezek. Młody ksiądz uśmiechał się natomiast szeroko i polerował łyżkę serwetką. Kosma zwrócił uwagę, że nikt nie pomodlił się przed posiłkiem, co go trochę zdziwiło.

– To spodziewaliście się gościa? – zapytał.

– Tak, widziałem pana rano przy cmentarzu – odpowiedział proboszcz, odbierając talerz z zupą jarzynową od gospoisi. – Wiedziałem, że prędzej czy później ktoś się zjawi w sprawie tego zniknięcia.

– Niech ksiądz nie zgrywa takiego ojca Mateusza – wtrąciła się Lucyna, podając talerz z zupą Kosmie. – Walasiakowa

wam powiedziała w tamtym tygodniu, że pokój ktoś zarezerwował, a zaliczka przysłała z konta policji. Ot i cała tajemnica.

– A to pan z policji? – zaciekawiał się natychmiast młody ksiądz.

– Tak – odpowiedział Kosma bez szczególnego entuzjazmu. No i cały misterny plan w pizdu. Konspiracja na najwyższym poziomie. Ale Walasiakowa nie zdradziła się, że o nim wie, przecież twardo dopytywała o jego profesję.

– W jakiejś sprawie? – dopytywał młody.

– Można tak to ująć – odpowiedział Kosma zdawkowo. Nie zamierzał się tłumaczyć, o sprawie zaginięcia miał zamiar porozmawiać z proboszczem w cztery oczy.

Gospodarz tymczasem mruknął coś znad talerza i rzucił okiem na gosposię, jakby czekając na komentarz. Nie usłyszał jednak ani słowa, zatem postanowił sam zabrać głos.

– Policjant zawsze jest policjantem. Tak jak ksiądz jest zawsze księdzem – rzucił odkrywczo i spojrzał wymownie na młodziaka. Ten nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko kpiąco.

– I księża, i policjanci są potrzebni – włączyła się gospośia, zabierając ze stołu ważę. – Jedni i drudzy pilnują porządku i sumień. A to jest najważniejsze.

– Lucynka da spokój – odezwał się młody. – To dwa różne światy. Być teraz w policji to nie za bardzo, ludzie albo się boją, albo się z nich śmieją. Brak szacunku, bo nie można mylić szacunku ze strachem. A ksiądz to ksiądz, ludzie się go nie boją. A i o szacunek łatwiej.

– Tak samo ksiądz, jak i policjant na szacunek muszą sobie zasłużyć – wtrącił proboszcz. – Nic nie spada z nieba.

Teraz też plują nam pod nogi, wyzywają od pedofilów. Sami na to zapracowaliśmy.

– Nie tutaj, nie we Wnykach – odparł młody. – Przyjechałem, a tu miło, spokojnie, zaraz mi ciasto przyniosła jedna parafianka, druga nalewkę. Wszystko z uśmiechem.

Gospoia tym razem huknęła o stół półmiskiem schabowych.

– Bo ksiądz proboszcz na to zapracował – rzuciła. – Samo nie przyszło. Sługą jest Boga i ludzi. Nie śpi do południa, ale od rana trzódki dogląda.

– E tam. – Machnął ręką młody.

– A właśnie. – Kosma uznał, że nadszedł idealny moment, aby się wtrącić. – Mówili mi, że nie macie wikarego.

– Bo to nie wikary – odpowiedziała szybko gospoia. – Ksiądz Marek tutaj na wypoczynek przyjechał.

– Ta, wypoczynek... – skwitował kwaśno młody kapłan.

– Czasem wytchnienia potrzebuje ciało, innym razem dusza – rzucił proboszcz.

Ksiądz Marek odpowiedział bezgłośnie, a Kosma był przekonany, że z ruchu warg dało się wyczytać słowo „dupa”. Ewidentnie młody nie przyjechał tu z radością. Ciekawe, czy też przybył do tej parafii, żeby przemyśleć to i owo, a jeśli tak, to co nawywijał, za co pokutował?

– Pan Kosma przyjechał tutaj z niezbyt przyjemnym i arcytrudnym zadaniem, jak mniemam. – Proboszcz zwrócił się w jego kierunku, odkładając nóż i widelec. – Chodzi o pewnego młodego kapłana, który także u nas się urlopował, dając ulgę swej skołatanej i zagubionej duszy. Otóż pewnego ranka

okazało się, że postanowił przerwać swój wypoczynek i opuścić nasze gościnne progi.

– Tak, dokładnie jak ksiądz proboszcz mówi – potwierdziła ochoczo gospoia. – Wołam rano na śniadanie, a tu nic. A nie zwykł sypiać do południa, jak co poniektórzy. Wstawał rano, modlił się, pierwszy był na śniadaniu. Zależało mu.

– Lucynko... – Proboszcz widocznie nie był zadowolony z faktu, że gospoia wpadła mu słowo i mówi więcej od niego. Jednak ta nic sobie z tego nie robiła.

– Poszłam do niego do pokoju i pukam. No a tam cisza. No to znowu pukam. Nic. Wchodzę wtedy, bo pomyślałam, że może się coś stało, a tam łóżko pościelone, wszystko posprzątane. Taki był grzeczny, miły chłopak, że nawet jak w nocy uciekł, to po sobie porządek zostawił.

Znowu spojrzała z ukosa na młodego księdza, nakładając mu najmniejszego kotleta.

– Uciekł? – zapytał Kosma.

– Uciekł – potwierdziła gospoia. – Ale przed czym, to sam Bóg tylko wie. Cichutko w nocy się spakował i wyszedł. Tutaj nikt na noc nie zamyka domu, bo i kogo się bać? Spokój. Nie ma złodziejstwa.

– Lucynko – powtórzył proboszcz, ale nie karcąco, raczej łagodnie, jakby upominał zbyt mocno paplającą w towarzystwie żonę. – Może podasz ciasto?

Gospoia rzuciła proboszczowi takie spojrzenie, że ten momentalnie powinien zamienić się w kamień lub co najmniej paść trupem na miejscu.

– Prawda jest taka, że pewnie nie wytrzymał więcej – zwrócił się stary ksiądz wprost do Kosmy. – Był u nas miesiąc, a to długo, szczególnie dla kogoś z wielkiego miasta. Pierwsze dni tutaj są uroczne, nowe miejsce, góry, przyroda, parafianie są ciekawi przybysza, odwiedzają go, ale później zaczyna się nuda. W końcu nie wytrzymał i wyjechał.

– Ale dokąd? – rzucił Kosma.

– Zaginął? – zapytał młody ksiądz, dobrze już przebudzony.

– Sam nie wiem, czy zaginął – westchnął proboszcz. – Pewnie zauważyłeś, chłopcze, że nie za bardzo miał gdzie się podziąć. Jeszcze miesiąc, a spokojnie mógłby z czystym sumieniem wrócić do służby Chrystusowi. Ty jesteś tu krótko, sam zobaczysz za parę tygodni, jak długie staną się dni i jak wolno płynie czas na wsi. Każdej nocy będziesz chciał się spakować i uciec stąd. Tylko czy warto?

– Dlaczego nie zgłosiliście zaginięcia na policję? – zapytał niemal oskarżycielsko Kosma.

– A bo i co tu zgłaszać? – odpowiedziała gosposia, wkraczając do salonu z ciastem na srebrnej paterze. – Jak letnicy wyjadą w nocy, to ktoś zgłasza? Nie. Chyba że nie zaplącą.

– Jak Lucynka mówi. – Skinął proboszcz. – Zgłosiłem tylko do kurii, że wyjechał w nocy. Po co miałbym na policję iść? Ani śladów włamania, ani nic. Wszystko spakował, ładnie i bez pośpiechu, i wyjechał. Dorosły człowiek. A że w nocy? Pewnie się bał, że go będą chciał zatrzymać. Błąd. Cała sztuka pokuty to walka ze swoimi demonami, grzechami. Samemu trzeba sobie narzucić karę i wypełnić ją. Nie w więzieniu, za murami, pilnowanym przez uzbrojone straże, ale tutaj. – Pro-

boszcz popukał się palcem w głowę nad zaczerwienionym uchem. – Tu trzeba skierować oskarżenie, przyjąć je, potem jest skrucha, żal za grzechy, postanowienie poprawy i naprawienie krzywd, zadośćuczynienie. Jeśli samemu się tego nie zrobi, nie można być dobrym człowiekiem, a co dopiero kapłanem. Jak można, żyjąc w grzechu, wypowiadać innych i wyznaczać im pokutę? Nie można.

– A za co on pokutował? – zapytał Kosma.

Postanowił ciągnąć dyskusję tak długo, jak to tylko możliwe. Zauważył, że proboszcz traktuje całą rozmowę jako lekcję dla młodego księdza. I był pewien, że nie mówi wszystkiego. Ba, pewnie kłamie jak najczarniejsza owca z powierzonego mu pod duchową opiekę stadka wiernych. Kosma nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wylewność gosposi była pozorna i całość tego zajścia była w pewien sposób wyreżyserowana, możliwe, że odgrywali to już wiele razy.

– Tego akurat ujawnić nie mogę, obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi. Zbłąkana dusza musi sama zrozumieć swój błąd, odnaleźć dobrą drogę w ciemnym lesie złych uczynków. Innym nic do tego. Ja mam tylko zapewnić miejsce i odpowiednie warunki.

– Dlaczego właśnie ksiądz? – zapytał Kosma.

Tego pytania proboszcz chyba się nie spodziewał, bo zapadła cisza, ewidentnie było to odstępstwo od przygotowanego scenariusza.

– Bo to jest akurat moja pokuta – powiedział powoli, jakby nie będąc pewnym, czy dobrze robi. Kosma widział to wiele razy podczas przesłuchań. Była to jedna z podstawowych tak-

tyk stosowanych przez śledczych. Zadawali setki pytań, często je powtarzając, by w odpowiednim momencie zadać to jedno. I to nie było jakieś oczywiste pytanie, w stylu: „Czy zabiłeś tę dziewczynę?”, raczej zagadnienie dotyczące nieścisłości wynikłej w toku dochodzenia albo szczegółu, który mógł znać tylko morderca. Pozornie błahe, nieistotne, rutynowe. Kluczowe.

– I nikt o niego nie pytał?

Znowu chwila zawahania. Proboszcz nie był zwykłym wiejskim kaznodzieją, Kosma był tego pewien. Nie był też pierwszy raz przesłuchiwany. Nie odpowiadał od razu, zostawiał sobie kilka sekund do namysłu, dobierał słowa, dbając jednocześnie, aby nie wyglądało to sztucznie. Dla kogoś nawykłego do wystąpień publicznych nie było to nic trudnego.

– Nikt – odpowiedział spokojnie.

Przy stole zapadła cisza, kończyli szarlotkę. Kosma stwierdził, że podczas tej rozmowy niczego ciekawego już się nie dowie. Musiał spotkać się z proboszczem sam na sam, choć ten będzie trudnym przeciwnikiem. Wstał od stołu.

– To ja już chyba pójdę, dziękuję za smaczny obiad. Obawiam się, że nie wymigam się od drugiego, na kwaterze, ale było warto.

– Zapraszam ponownie – rzucił z niespodziewanym uśmiechem ksiądz. – To bardziej niż pewne, że po pierwszych oględzinach przyjdzie czas na kolejne. Proszę się nie krępować, drzwi zawsze są otwarte. I zapraszam do kościoła, oczywiście na niedzielną mszę, ale też nawet i teraz, żeby zobaczyć naszą świątynię. Zresztą, sam pana oprowadzę, dawno nie miałem okazji pochwalić się naszym kościołkiem.

Młody ksiądz wstał od stołu i nawet nie rzucił gosposi słowa podziękowania, tylko odwrócił się i zniknął za drzwiami. Niezrażona jego zachowaniem Lucynka zaczęła sprzątać po obiedzie, coś tam podśpiewując pod nosem, chyba jakiś szlagier Sławomira.

Kosma z proboszczem wyszli z plebanii i przeszli przez ulicę, minęli cmentarz i stanęli przed kościołem.

– Zna się pan może na architekturze, historii sztuki? – zapytał ksiądz.

– Nic a nic – odpowiedział Kosma zgodnie z prawdą. Coś tam pamiętał z seminarium, ale była to raczej wiedza krzyżówkowa.

– Otóż jest to stary kościół, nie został wybudowany z cegły, ale z kamienia, jesteśmy w górach, więc o ten budulec nietrudno. Jego powstanie datuje się na trzynasty wiek i to by się zgadzało, bo mamy tutaj do czynienia z czystym stylem romańskim. Przetrwiał chyba w nienaruszonym stanie. Drzwi dębowe, okute, może nawet i oryginalne, kto wie. Nie badano tego. Zapraszam do środka.

– Naprawdę nikt go nie badał, nie poddawał renowacji?

– Konserwatorom zabytków czy archeologom nigdy nie jest po drodze do takich mięścin.

Drzwi uchyliły się całkiem lekko, choć sprawiały wrażenie niezwykle masywnych. Weszli do zaciemnionej kruchty, po prawej stronie znajdowały się niewysokie drzwiczki, dorosły mężczyzna pewnie musiałby się lekko schylić, aby przez nie przejść. Na wprost były otwarte dwuskrzydłowe wrota prowadzące do wnętrza. Jak to zwykle w kościołach romańskich próżno było szukać tu złocień, figlarnych aniołków, obrazów czy innych atry-

butów mających przygnieść śmiertelnika rozmachem i majestatem stwórcy. Drewniane ławki wytarte przez pokolenia parafian, kolumny z jasnego kamienia. Jedynym rzucającym się w oczy elementem był kończący prezbiterium, zwieńczony półkolistą apsydą, kilkumetrowy witraż przedstawiający zmartwychwstałego Jezusa. Zbawiciel miał rozłożone ręce, w prawej dość nietypowo trzymał miecz, za nim stał w oddali krzyż. Oczywiście zgodnie z odwieczną sztuką kościoł był skierowany na wschód, zatem wstające słońce przebijające się przez kolorowe szyby tworzyło zapewne niesamowity spektakl. Kapłan odprawiający poranne nabożeństwo, mając za sobą oświetlonego Zbawiciela, musiał robić na średniowiecznym ludku ogromne wrażenie. Choć z tego, co Kosma pamiętał, wtedy odprawiano msze tyłem do wiernych, a przodem do ołtarza.

Prawą stronę prezbiterium ozdobił krzyż z konającym Chrystusem. Figura była naturalnej wielkości, a wszystkie szczegóły anatomiczne, mięśnie, zagięcia skóry, krople krwi, były odwzorowane z przesadną dbałością o szczegóły. Z pewnością nie było to dzieło romańskie.

– Piękny, nieprawdaż? – zapytał proboszcz. – Ależ ja nienawidzę tych kapiących złotem katedr, zgwałconych wręcz przepychem, jawiących się niczym stara kobieta obwieszona biżuterią dla przykrycia zepsucia i upływającego czasu. Oddalają ludzi od sedna sprawy, nie przystają do tego, czego nauczał Chrystus. Tutaj można naprawdę porozmawiać z Bogiem, usłyszeć go.

– Krzyż jest zabytkowy?

Ksiądz spojrzał na niego przenikliwie, jakby zadał bardzo niewłaściwe pytanie.

– Tak, jednak trzeba zawierzyć w tej materii raczej legendom. Może to złe słowo, powiedzmy, że tradycji ustnej, a nie legendom. Otóż nie wiem, czy słyszał pan kiedyś o takim rycerzu jak Mszczuj ze Skrzywna.

– Jedyń, jakiego znam, to Zawisza Czarny.

– Całkiem blisko. Zapewne jednak słyszał pan o bitwie pod Grunwaldem.

– Kto nie słyszał? Jeśli obudzi się w nocy Polaka, ten będzie znał swój PESEL i datę bitwy pod Grunwaldem.

– Słusznie – uśmiechnął się proboszcz. – Otóż Mszczuj ze Skrzywna posądzany jest o zabicie podczas bitwy grunwaldzkiej Wielkiego Mistrza Ulricha von Jungingena. Pewności nie mamy, bo do dziś nie wiadomo, kto go zabił. Jednak przyjmijmy, że tak właśnie było. Jako zwycięzca rycerz mógł zabrać pokonanemu jego zbroję i dobytek, co też Mszczuj uczynił. Tunikę Wielkiego Mistrza podarował w ofierze kościołowi w Kijach, gdzie do czasu rozbiorów służyła jako ornat do mszy. Co istotne dla naszej historii, Mszczuj był właścicielem zamku w Burwałdzie, a to nie tak daleko stąd. Otóż wedle tradycji podróżował z żoną i napotkała ich po drodze straszliwa burza. Wie pan, jakie są burze w górach, nagle i gwałtowne. Właśnie tutaj mieli się wedle przekazu schronić w trakcie tej nawałnicy. Jego małżonka była przy nadziei, a nadszarpnięte burzą nerwy wywołały przedwczesny poród. Na szczęście miejscowa babka zielarka, której imię podobno brzmiało Dobromiła, przyjęła poród, dziecko urodziło się zdrowe. W podziękowaniu za opiekę przysłał ten właśnie krzyż, który podobno był zdobyty na Krzyżakach, i w trakcie bitwy wieszono

go obok samego Wielkiego Mistrza. Do tego dołożył złoty, bogato zdobiony sztylet, który miał przy pasie jeden z krzyżackich rycerzy. Ile w tym prawdy? Nie wiem. Faktem jest, że każdy tutaj święcie wierzy w tę historię.

– Piękna opowieść – powiedział Kosma, który postanowił wieczorem zagłębić się w historię nieznanego mu rycerza. Może spyta o to Maję? Jako lokalna badaczka powinna chyba znać tę legendę.

– Sztylet trzymamy tutaj. – Proboszcz zaprowadził go pod ołtarz, z boku był obraz przedstawiający rycerza, a pod nim w szklanej zabudowie spoczywał cudnej urody sztylet, a właściwie to mały miecz. Kosma nie znał się na średniowiecznej broni.

– Przepiękny. Przecież to zabytek na skalę światową. Nie upominali się o niego z Malborka?

– Nikt się nigdy o nic nie upomniał. Mało kto wie, że takie Wnyki istnieją, i dobrze nam z tym.

– Nawet jeśli to legenda, to warto byłoby zbadać ten sztylet – powiedział Kosma.

– Jeśli wracamy do legend, to jest jeszcze jedna związana z tym krzyżem.

– Tak?

– Ale tej nie opowiem, nie będę psuł panu zabawy. – Uśmiechnął się tajemniczo proboszcz. – Podobno samodzielne odkrywanie prawdy i zgłębianie wiedzy to największa przyjemność, nie zamierzam jej panu odbierać. W każdym razie kościoła też nie zamykamy, zatem jeśli chciałby pan pokontemplować...

– Raczej nie praktykuję.

– Ale kiedyś służył pan do mszy, mam rację? – zapytał, przyglądając mu się uważnie.

– Można tak to ująć.

– Tak jak policjant zawsze pozna policjanta z daleka, tak ksiądz księdza albo kogoś, kto mocno uczestniczył w życiu kościoła po drugiej stronie ołtarza. Może kiedyś o tym porozmawiamy, nie męczę dłużej. Z Bogiem.

Proboszcz odwrócił się i podreptał w stronę ołtarza. Kosma jeszcze raz spojrzął na wnętrze świątyni, po czym ruszył na zewnątrz. Ręka mu drgnęła odruchowo, aby zaczerpnąć wody święconej z kropielnicy i wykonać znak krzyża, ale się powstrzymał.

Wyszedł przed kościół i jeszcze raz rzucił okiem w kierunku cmentarza, ale nie zauważył Mai.

Ruszył w stronę drogi, wypadało w końcu odwiedzić sklep. Pogoda była przepiękna, zbliżało się popołudnie, ale ludzi na ulicach – a właściwie ulicy – wioski nie przybywało. Było cicho, spokojnie, jakoś tak niemrawo.



Pod sklepowymi parasolami nikt nie zażywał odpoczynku, nie popijał piwka. Kiedy Kosma wszedł do środka, drzwi uderzyły w zawieszony w progu dzwonek, a on poczuł się jak w dzieciństwie: nie było przeszklonych lodówek na piwo, krzykliwych reklam, oklejonych logotypami półek. Tylko stare lady, głośno buczące lodówki z przybrudzonymi uszczelkami, masywne półki i obracający się z hipnotyczną prędkością podsufitowy wentylator. Ekspedientka jednak nie była żywcem wyjęta z filmów Barei, miała może dwa-

dzieścia parę lat, kolczyk w nosie i biust, który nie pozwalał się skupić na żadnym z towarów wystawionych za jej plecami. Ostry makijaż stanowił całkowite przeciwieństwo tego, co widział jakiś czas temu na twarzy Mai. Mocno wymalowane na czarno brwi, błękit na powiekach spadający prawie na policzki. W pewnym momencie Kosma miał wrażenie, że to siniak, a nie efekt nadużycia kosmetyków, może ma chłopaka ze zbyt ciężką ręką? Takie rzeczy zdarzały się zarówno w mieście, jak i na wsiach, a tam może nawet i częściej. Tradycja raczej nakazywała kobietom posłuszeństwo, a durne teksty, że łobuz kocha najmocniej, nie pomagały.

Te przemyślenia przerwał dzwonek zawieszony nad drzwiami, który właśnie głośnie oznajmił przybycie kolejnego klienta. Dziwne, bo na ulicy Kosma nie widział nikogo. Mężczyzna był tęgi, ubrany w dżinsy i kraciatą koszulę, która na pewno widziała już kilka zmian prezydentów w Polsce. Miał długie, przetłuszczone włosy, a zarost szalał po jego gębie z dziką swobodą. Ciotka Kosmy, Eugenika, mówiła o takich ludziach, że są zarośnięci niczym dziki agrest. Trudno było określić jego wiek, mógł mieć nawet i pod sześćdziesiątkę.

Mężczyzna doczłapał się do lady, dziewczyna bez gadania podała mu wypełnioną produktami szmaccianą torbę, na co ten mruknął z aprobatą i opuścił sklep. Nie zaszczyił policjanta nawet przelotnym spojrzeniem.

– To Rubens – odezwała się dziewczyna. – Taki lokalny koloryt, jeśli wie pan, o czym mówię.

– Żul? – zapytał bez ogródek.

– Coś tam pije, ale to raczej inna sprawa. Słyszał pan kiedyś o takim facecie, co to chodził po Polsce z drewnianym

wózkiem, na którym miał cały dobytek? Po głównych drogach łąził, wiem, bo film oglądałam o nim. Taki niby wariat, a chodziło o to, że jechał po pijaku i miał wypadek, zginęła jego żona i dziecko. Zwariował od tego, a był słynnym lekarzem, chirurgiem. No i tu tak samo w sumie, nasz Rubens niby też przeżył tragedię, traumę, jak to mówią.

– A jaką?

– A nie wiem, bo różnie mówią. Co podać?

Miał wrażenie, że celowo ucięła temat. Jeśli miał od kogoś wyciągnąć informacje, to właśnie od niej, młodej, jeszcze nieprześlągniętej wiejską mentalnością, pewnie ciekawej świata.

– Colę. To co złamało Rubensa?

– A tam. Szkoda gadać, ale mówią, że niby śmierć syna.

– Kielbasy wiejskiej dwie laski. Zabił go?

– Niecee... No co pan.

– Kefir. No, może w wypadku, jak ten lekarz.

– Nie. Ale że niby czuł się na tyle winny, że mu odbiło, że to niby przez niego.

– Pół chleba krojonego. A stąd jest?

– Nie ma krojonego. Cały dam. Teraz już stąd.

– Jeszcze konserwę tyrolską i jakiś pasztet. Przyjechał tutaj?

– Tego to nie wiem. Niby nie ma tu rodziny. Dopytać nie idzie, bo tylko mruczy, nic nie mówi.

– Czteropak lecha. Nie zapłacił za zakupy.

– Nie płaci. Wszyscy dają mu to, czego chce. To znaczy nie mówi, czego chce, ale jakoś tak się przyjęło, że niby każdy wie, co mu dać.

– I czekoladę jakąś, z orzechami. Za darmo mu dają?

– Tak. Wie pan, że niby lokalny koloryt, pomoc bliźniemu, takie bzdury. Nie wiem, nie wnिकam. Ciężko wycząić.

– Wszystko. Ile płacę?

– Trzydzieści dziewięć. Nie przyjmujemy kart.

– Spoko. Macie tu jakiś bar?

– No jest, taki w remizie, nazywa się U Dżordża.

– Nie widziałem żadnego szyldu.

– Bo nie ma. To dla miejscowych, wszyscy wiedzą, gdzie jest.

– Można tam spokojnie wyskoczyć wieczorem?

– Można, proszę się nie bać, tyle że rzadko otwierają, głównie jak jest okazja. Ludzie w domach jedzą, a napić się taniej pod sklepem. Jedzenie takie sobie, pierogi warto zjeść, bo matka Jureczka, znaczy się Dżordża, sama robi. Reszta mrożonki. Ja tam nie chodzę.

– Dlaczego?

– To nie miejsce dla młodych. Starzy na piwo tam chodzą, a właściciel... No dziwna sprawa.

– Dżordż, tak?

– Tak na niego mówią, bo podobno jego ojciec był Francuzem. Kto tam wie, jak było. Ale on ma te, no, stwardnienie rozsiane i taki niby sparaliżowany. Z balkonikiem chodzi, a właściwie człapie, za barem siedzi, tylko jedną rękę ma sprawną.

Kosma pokiwał głową i doskonale zrozumiał, co dziewczyna miała na myśli. Młodzi nie przepadają za widokiem starszych, schorowanych ludzi, bo to zaburza ich przekonanie o własnej nieśmiertelności.

– To dokąd młodzi chodzą?

– W tygodniu to różnie, jak jest czas, to coś wypić za cmentarz. Raczej jednak ogarnia się jakąś podwózkę i leci do Jeleniej.

– A w weekend?

– W weekendy przy remizie wystawiają chłopaki grilla, jest beczka piwa, dobra muzyczka. Można podejść. Nikt nic nie powie, nawet jak pan nie jest miejscowy. W sobotę będzie na stadionie doroczny festyn. Proszę przyjść, potańczymy.

– Zobaczymy. Dziękuję.

– Do widzenia.

– Do widzenia. – Kosma podszedł do drzwi, po czym odwrócił się, rzucając najbardziej czarujący uśmiech, na jaki go było stać. – A tego księdza, co to mieszkał u proboszcza ostatnio, co zaginął, to pani widziała?

– Ja się tam kościołem nie interesuję – odpowiedziała szybko. Za szybko według wyczulonego zmysłu policjanta. – Nie chodzę, nie słucham Radia Maryja.

– No, ale chyba chodził na zakupy. Podobno był przy stojny.

– Jaki by nie był, to ja go nie widziałam. W sklepie tylko czasem jestem, matkę zastępuję. I ja nie z takich, co się za sutannami oglądają, zresztą oni chyba wolą młodsze, co nie? Albo chłopców.

Podszyta agresją wypowiedź mocno go zaciekawiła. To nie było szczerze, ale też nie wyglądało na aktorski popis. Coś jak koleżanka nadająca na swoją najlepszą przyjaciółkę, bo akurat tamta odbiła jej chłopaka.

– Okej, nie wnikam. Do widzenia.

Kosma szarpnął drzwi i przy dźwięku dzwonka wyszedł przed sklep. Dookoła było pusto, nigdzie Rubensa czy też mężczyzny, którego spotkał rano przy cmentarzu. Ani Mai.

Dotarcie do kwatery zajęło mu dosłownie kilka minut. Niemalże w drzwiach czekała na niego gospodyni w niczym nieprzypominająca tej dobrotliwej, drzemiącej na ławce staruszki, którą miał okazję poznać kilka godzin temu.

– Obiad jadł pewnie u proboszcza, u Lucyny? – zapytała gniewnie, a Kosma wiedział, że nie ma dobrej odpowiedzi na to pytanie. Czuł powagę, ba!, grozę sytuacji, stał na krawędzi, przy gorejącym wulkanie, między dwiema armiami toczącymi wojnę od dziesięcioleci. Niewiasty niechybnie nie darzyły się sympatią, ich konflikt pewnie pociągnął za sobą tabuny ofiar, on miał być kolejną.

– Nooo...

– Niech nie kłamie – rzuciła gospodyni cierpko. – Policjant, a kłamie?

Westchnął z ciężkim sercem, co najmniej jakby przyznał się do zdrady małżeńskiej.

– Ksiądz proboszcz zaprosił mnie do stołu, no i nie wypadało odmówić.

– A ja tu czekam! Z kotletami! Bo wiem, że z ręki Lucyny zjeść to jak trocin posmakować. Ale pewnie jest grzeczny, dobrze wychowany, to i zjadł, ile mu tam na talerz ta jędza włożyła.

– Na szczęście nie było tak dużo – westchnął Kosma z udawaną ulgą. – Jest tam nowy ksiądz, zatem...

– Nowy ksiądz? – Gniew zmienił się... Właśnie, w co? Policjant nie potrafił wyłapać tego uczucia, zrozumieć naglej odmiany. Nie był to strach czy smutek, raczej jakby zaduma nad smutną koleją rzeczy. – Czas na mnie, byle tylko kupca znaleźć – rzuciła cicho i ruszyła do domu. Kosma podreptał za nią.

– Co panią tak zasmuciło? Ja nadal głodny jestem. Zjem z chęcią.

Przeszli do kuchni, Kosma wrzucił piwo do lodówki. Gospodyni tymczasem nałożyła mu ziemniaków, kotleta schabowego, dorzuciła kalafiora, całość polala przyrumioną bułką tartą.

– Grzeczny jesteś, chłopcze. Nawet bardzo. Zjedz, ile możesz. Matka musi być niezwykle dumna z takiego syna.

– Dziękuję – odparł Kosma, ciągle bacznie przyglądając się gospodyni. – Nie lubicie się z tą Lucyną?

– Ja to już się chyba tutaj z nikim nie lubię – rzuciła cierpko kobieta, rozlewając kompot do brązowych szklanek. – Zbyt wiele lat, zbyt mało zmian. Od dziecka we Wnykach, każdy kamień znam, każdego człowieka, pamiętam wszystkie psy, jakie były we wsi. To straszne, ale kiedyś leżę tak w nocy, gorąco i parno i spać nie mogę, i mi się przypomniał mój mały piesek, taki żółty, Bohun go wołałam. I po chwili tak liczę, a miałam tych psów z sześc, wszystkie pamiętam. I tak dalej myślę, że od sąsiadów też wszystkie znam, i od tych z drugiej strony ulicy też. I tych dalszych. Tyle psów. I co, umrę tutaj, w łóżku, co się w nim rodziłam, świata nie poznałam, ale psy wszystkie pamiętam? I ile mi tego życia zostało? Parę lat? To

jeszcze po jednym psie dodam do listy. To ja wolę jeszcze coś zobaczyć, duże miasta, parki, statkiem popłynąć, morskiej wody posmakować. Całe życie tutaj. Jak te psy...

Oczy gospodyni zrobiły się wilgotne, zaczęła się lekko kiwać do przodu i do tyłu. W takich momentach babcia Kosmy najczęściej sięgała po różaniec, co ją uspokajało.

– Ja bym wolał chyba te psy znać, niż świata posmakować – rzucił, krojąc kotlet. Dołożył sobie kalafior.

– Tak gadasz, chłopcze, bo świat poznałeś. Policjant, to i od złej, i od dobrej strony, może i od tej złej bardziej, kto wie. Ale ja tutaj też widziałam zło, duże zło, chciwe zło, pożądlive zło, krwawe zło, przebrane za Boga, przebrane za miłość, czyste zło też. Znam te wszystkie rodzaje zła jak te psy. I wszystkie pamiętam, mam ich już dość, bo tak jak psy rodziły się i zdychały, niezależnie, czy żyłam, czy nie, to i to zło tak samo będzie działać. Tylko boję się, że jak tak człowiek obcuje z tym złem, to i sam się taki staje. Zły.

Wstała gwałtownie i wyszła bardzo żwawym krokiem, zupełnie nieprzystającym starszej kobiecie. Zostawiła Kosmę z niedojedzonym obiadem i całym złem tego świata, i wszystkimi jego psami. Mogła poznać tyle zła? Skąd? W czasie wojny raczej była dzieckiem lub jeszcze jej nawet na świecie nie było. Później? W trakcie komuny? Co tu się mogło dziać w takich Wnykach, że tę zwyczajną kobietę zło w końcu zmusiło do wyprowadzki i szukania wytchnienia w innym świecie?

Skończył jeść, wstał od stołu, talerz wstawił do zmywarki i poszedł do swojego pokoju. Po dwóch obiadach zrobiło

mu się błogo i spokojnie, wyjął z lodówki piwo, wypił niemal duszkiem. Ależ to był ciepły maj, pozował mocno na lipiec, jeszcze kilka dni takiej pogody i można będzie wybrać się nad wodę.

Położył się na łóżku i już wiedział, że Morfeusz nadciąga i zafunduje mu drzemkę.

Gdy otworzył oczy, słońce nieco odpuściło światu, chowało się za górami, a przez otwarte okno wślizgiwało się powietrze, zapowiadając chłodną noc. Wstał i szybko ruszył do łazienki, wskoczył pod prysznic. Drzemka zabrała mu kilka cennych godzin, mógł sporządzić notatki, popytać znajomych policjantów o wydarzenia z tej wioski, zrobić cokolwiek – a nie spać jak pyton po polowaniu.

Po kąpeli wrzucił na siebie świeże ubranie i postanowił przespacerować się ponownie pod cmentarzyk, coś go tam niepokoiło. Może za dużo naoglądał się w życiu horrorów, na czytał się Kinga, ale mrok ciężący nad okolicą nie dawał mu spokoju.

Przechodząc przez wioskę, skąpaną teraz w świetle zachodzącego słońca, zauważył, że jakby więcej ludzi pojawiło się na ulicy i w ogródkach, nie mówiąc już o lokalnym sklepie. Przypomniał mu się jego pierwszy partner w policji, gość na rok przed emeryturą i na pięć przed śmiercią, jak sam o sobie mówił. Miał jednocześnie olbrzymią wiedzę o pracy w terenie, zadziwiający pęd do nauczania oraz beczelnie olewczy stosunek do świata, który sam określał mianem: „Mam wyjebane”. Ten stary pies powtarzał: najwięcej dowiesz się od sklepowej i jej stałych klientów. Dobrze postawione tanie wino

może działać więcej niż przesłuchanie połączone z biciem. Sprawdzało się w praktyce.

Pod sklepem siedziało trzech starszych mężczyzn, ogolonych, czystych i uśmiechniętych. Nie zamilkli na jego widok, spokojnie popijali piwo i gawędzili, co jakiś czas wybuchając krótkim, lecz szczerym śmiechem.

Wszedł do sklepu i kupił dwa czteropaki lecha. Na zewnątrz szybko i z uśmiechem podszedł do grupki.

– Dzień dobry. Ojciec mnie nauczył, że w gości nigdy z pustymi rękami. – Postawił piwo na stoliku i przysiadł się.

– Dzień dobry – odpowiedzieli po kolei.

Najstarszy z nich, noszący dumnie siwe, wypielęgowane wąsy, chyba był samcem alfa tej grupy, bo jako pierwszy zabrał głos.

– Ojciec dobrze cię wychował. Na szczęście na piwo nas stać, zatem dobrze, że wspominasz o gościnie – powiedział spokojnie. – Bo chyba nie chcesz nas przekupić?

– Trochę chcę – rzucił szczerze i z uśmiechem w odpowiedzi. – Ale jaki interes, taka moneta. Przyjechałem tutaj na jakiś czas, złapać oddech, a doświadczenie nauczyło mnie, że to mieszkańcy najlepiej wiedzą, gdzie można poutykać po okolicy. Żadne przewodniki czy internety tego nie powiedzą.

– Śpisz na plebanii czy u Walasiakowej? – zapytał kolejny z mężczyzn, brunet z tatuażem syreny na przedramieniu. W takim wieku tak czarne i gęste włosy? Niezłe geny.

– U Walasiakowej.

Jakby nastąpiła w nich mała pozytywna odmiana. Rozluźnili się, szef rozerwał czteropak i rozdał kolegom po piwie, Kosmie też dał jedno. Policjant ochoczo otworzył puszkę,

smakując zimną pianę. Nie przepadał za sklepowymi piwami, wolał ciemniejsze gatunki, ale też nie był jakimś nawiedzonym maniakiem piw craftowych.

– Szanowny pan reflektuje góry czy spokojniejsze tereny? – odezwał się i trzeci, z delikatną blizną na policzku w kształcie litery V, nieco łysiejący. – A może zabytki?

– Wszystko, co ciekawe. Jeśli chodzi o zabytki, to ksiądz proboszcz już mi pokazał kościół i cmentarz.

– No to zabytki ma szanowny pan z głowy – powiedział Blizna. – Jest jeszcze stary most kolejowy. Ale czy to warto? Nie wiem. Można iść.

– A co ksiądz mówił o kościele? – zaciekawił się SzeF.

– Nic ciekawego, że stary. Wspominał o legendzie związanej z tym rycerzem, co walczył pod Grunwaldem.

– Czy to legenda? Kto wie? Może i tak. – SzeF pociągnął solidny łyk piwa. – Każda miejscowość ma swoje legendy, jedne całkowicie zwariowane, inne dające do myślenia. Jak dla mnie to ludzie w danym czasie tłumaczyli sobie pochodzenie pewnych rzeczy, które utonęły w niepamięci. Nikt nie wie, skąd wziął się kościół i krzyż w nim. Trochę to dziwne, ale nigdzie się tego nie można doszukać, a za małe zadupie z nas, żeby się tutaj jakaś zgraja uczonych zjawiała i zbadala, co trzeba.

– Jednak większa zagadka jest z krzyżem – powiedział Blizna.

– A tak, to większa zagadka – zgodził się Czarny. – Bo gdyby to był zwykły krzyż, to nikt by się tam specjalnie tym nie przejmował. Jest krzyż i już, pewnie ktoś w pokucie przy-

wiół albo w podziękowaniu za ratunek. Ale że to krzyż niezwykły, to wszyscy szukają wytłumaczenia.

– Dlaczego niezwykły? – zapytał Kosma.

– Proboszcz nie mówił? Oj, nie lubi on o tym gadać. W ogóle to mało gada, całkiem nie jak ksiądz. A niedobrze, bo to ciekawa opowieść.

Jak na komendę wszyscy przechylili puszkę. Majowy wieczór był ciepły, choć po nogach leciał wiosenny chłód, ale pewnie nie robiło to na miejscowych wrażenia. Pierwszy odezwał się Blizna:

– Szanowny pan to pewnie sporo zwiedził, dużo widział, niemało się nasłuchał. I ja kiedyś jeździłem trochę po świecie, najbardziej lubiłem słuchać o duchach. Tylko jak już w dziesiątym zamku słyszałem, że Biała Dama straszy, to nudne się stawało. No bo ileż można? A nasza opowieść, ta o krzyżu, to specjalna jest i nikt takiej nie ma.

– O tym, że rycerz spod Grunwaldu go ofiarował? – zapytał Kosma.

– To też – przytaknął Blizna – ale jakby zliczył, ile pamiątek po Krzyżakach ofiarowano po kościołach, pewnie by ubrał ze trzy armie, a nie tylko jedną.

– Bo jest też inna opowieść – zaczął Szeff. – Nie tłumaczy, skąd się wziął krzyż, ale jaką ma moc.

– Moc? – zdziwił się policjant. – Jak relikwia, uleczająca?

– Można powiedzieć, że leczy, ale nie ludzi, lecz świat. Ze zła – powiedział Czarny, pociągając łyk z puszkę.

Szeff przytaknął.

– Widzisz, to jest tak. Trafiają się na świecie wyjątkowo złe osoby, takie czarne dusze, bez sumienia. Wiedzą, że ich uczyn-

ki są złe, ale zawsze potrafią znaleźć usprawiedliwienie swoich czynów. Oczywiście takie swoje, sami dla siebie. Rozgrzeszają samych siebie, po czym zło się potęguje, bezkarność ich rozzechwała. I tego zła jest coraz więcej i więcej, aż w końcu musi się to jakoś odbić na świecie. Albo ludzie sami, przy pomocy swoich praw, go ukarzą, a po śmierci uczyni to Bóg, tak jak powinien...

– Albo? – zapytał Kosma.

– Bóg sam w końcu ześle karę, tu, na ziemi. Jak to mówią: nierychliwy, ale sprawiedliwy. Czasem jednak nawet on mówi „dość”, zakasuje rękawy i rusza do roboty.

– A jak to ma się do krzyża?

Szef pogładził wąs, napił się piwa.

– Jak się dzieje zło, a grzesznik jest w pobliżu, to Jezus schodzi z krzyża, tego, co go widziałeś w kościele, i idzie wymierzyć sprawiedliwość.

Zapadła cisza. Kosma był pewien, że za chwilę wszyscy wybuchną śmiechem, poklepią go po plecach, po czym będą dalej snuć opowieści. Jednak oni dalej w ciszy pili piwo. Nikomu nawet nie drgnęła powieka.

– Nie wierzysz – skwitował jego minę Czarny.

– Wybaczcie, ale...

– Tak, wiem. – Pokiwał głową Blizna, po czym rozpakał kolejny czteropak. – Szanowny pan ma prawo nie wierzyć, bo jak tu uwierzyć w takie gadanie? Gdybym nie mieszkał tutaj od dziecka i tego nie widział, sam bym nie uwierzył. Ciężko jest wierzyć w Boga w dzisiejszych czasach, nie mówiąc już o cudach. Nie ma jego zdjęć, filmów z Bogiem, nie komentuje niczego w internecie. Jak tu wierzyć? A jednak gdy zjawia

się we Wnykach grzesznik, Jezus Chrystus schodzi z krzyża, idzie do komnaty przy kruchcie, gdzie czeka na niego świeże ubranie. Wkłada buty, spodnie i koszulę, po czym idzie do grzesznika i wymierza mu sprawiedliwość.

No dobrze, gdzieś musiał być kres tego szaleństwa. Kosma postanowił robić dobrą minę do złej gry. W końcu jakie tutaj mogły być rozrywki oprócz dorocznego festynu na stadionie? O wkręceniu turysty pewnie będą opowiadać jeszcze latami.

– I zabija go? – zapytał policjant, siląc się na poważny ton.

– Zabija – odpowiedział spokojnie Czarny, a dwaj koledzy przytaknęli, kiwając głowami.

– Potem wraca do kościoła – ciągnął Blizna – zdejmuje ubranie, myje się i wraca na krzyż.

– Sam?

– Pomaga mu kościelny – wyjaśnił Szef. – To u nich w rodzinie tradycja, a przekazują ją z ojca na syna. Oprócz tego, co kościelnemu zwykle robić należy, musi też dbać o czyste ubranie w komnacie, miskę z wodą i mydło, a po wszystkim przybić Zbawiciela do krzyża. Samemu nie jest łatwo, więc czasem ktoś ze wsi pomaga.

– Niesamowita opowieść – stwierdził Kosma.

– Ludzie kiedyś wierzyli w niesamowite – westchnął Czarny. – Łatwiej było żyć bez tej całej wiedzy, tych naukowców, kamer, doświadczeń. Człowiek bał się Boga, a dzisiaj to już mu nic niestraszne. Nic! Zabić to jak splunąć. Nie chodziło się w nocy do lasu, bo wilkołaki, strzygi, upiory. Siedział człek w chałupie i się cieszył życiem. A dzisiaj polezie, w łeb dostanie, sam sobie winien.

Przy stole znowu zapadła cisza. Kosma zastanawiał się przez chwilę, czy zapytać o zaginionego księdza.

– A tu łatwo w łeb dostać? – zapytał w końcu.

– Jak człowiek spokojny, nie wadzi nikomu, to i może w nocy tutaj pod sklepem usnąć, jeszcze ktoś kocem przykryje. – Uśmiechnął się Szef i zaczął się rozglądać za kolejnym piwem.

– Ale jak sumienie czarne – powiedział Blizna – to lepiej nasłuchiwać, czy w kościele gwoździe o posadzkę nie stuknęły.

– Podobno mówi się, że to kościół Chrystusa Mściwego? Nikomu nawet nie drgnęła brew.

– Nie dziwota – zgodził się Szef. – Każda legenda ma swój ogon, a ten tutaj rósł przez wieki. Jednak skoro tak nazywają, to coś w tym musi być.

– No dobrze, panowie, dziękuję. – Kosma wstał od stołu. – Chyba czeka mnie jeszcze jedna wycieczka do kościoła, potem połażę po okolicy.

– A nie chciałeś o coś jeszcze zapytać? – rzucił Szef. – Na przykład o zaginionego księdza?

Kosma popatrzył na nich badawczo. Siedzieli, wpatrując się w niego, i w majowej szarówce wyglądali jak trzy trolle pilnujące skarbu. Jeden z nich podniósł znacząco pustą puszkę po piwie.

Policjant wszedł do sklepu, złapał za kolejne dwa czteropaki i podał dziewczynie.

– Naciągają pana – rzuciła z uśmiechem.

– Pójdzie w koszty. – Uśmiechnął się.

– Naopowiadają bredni i tyle. Będą się tylko panu koszmary śniły. Ja za to z chęcią dam się przepytać na tę okolicz-

ność. I każdą inną. No i sny będą od tego lepsze niż po pijackich bredniach.

– Dzisiaj przecież już pytałem – rzucił.

– Jak tam pan chce – naburmuszyła się. – Trzydzieści dwa złote, panie letnik.

Zapłacił i wrócił do swoich informatorów. Złapali po piwie, syknęły otwierane puszki.

– Skąd wiecie, że chciałem zapytać o zaginionego księdza?

– Zawsze, jak coś takiego się wydarzy, ktoś przyjeżdża i wypytuje – powiedział Szeff.

– Czyli zdarza się częściej?

– Zdarza się, nie każdego dnia, ale bywa. W końcu zatwardziali grzesznicy nie znajdują tak łatwo drogi do nas. To mały koniec świata.

– I jak przychodzi taki jak ty – Blizna potarł policzek – to wypytuje, szuka, docieka. Najczęściej to ktoś z rodziny.

– A policja?

– Prawie się nie zdarza – odparł Szeff.

– Natomiast ci, co węższą, to posiedzą tydzień i wyjeżdżają – dorzucił Czarny.

– Nie znajdują prawdy?

– Nie jest dobrze wchodzić Bogu w drogę – powiedział Blizna. Szeff pokiwał głową, jakby ze zniecierpliwieniem.

– A czym będzie prawda? Jeśli powiem ci, że to kasjerka ze sklepu uwodzi tych chłopaków, a potem mami cyckami, zaciąga do lasu i zabija, to mi może i uwierzysz. Bo to jest według ciebie możliwe. Jednak jeśli opowiem, że to Jezus zszedł z krzyża i poderznął gościowi gardło, to mnie wyzwiesz od

wariatów. Zatem czy w tym przypadku prawda ma jakieś znaczenie? Jakiegokolwiek? Wątpię. Gdyby miała...

– To co? – dopytał szybko Kosma, bo po kolejnym piwie goście nieco się rozgadali.

– Gdyby prawda miała znaczenie, to świat wyglądałby całkiem inaczej – powiedział Szef. – I Jezus nie musiałby schodzić z krzyża i wymierzać sprawiedliwości.

– Ale przecież nikt nigdy nie uwierzy w to, że Jezus schodzi z krzyża i zabija grzeszników!

– Zatem chyba właśnie trafiłeś na zbrodnię doskonałą. – Blizna wznosił toast puszką żywca.

– Dajcie spokój. – Kosma też napił się piwa. Z każdym łykiem smakowało lepiej.

– Tak łatwo ludziom uwierzyć w Boga, a tak trudno w jego działanie – podsumował Szef.

– Smacznego i dziękuję za towarzystwo – powiedział Kosma, wstając od stołu. – Było mi bardzo miło i mam nadzieję, że mnie jeszcze kiedyś przygarniecie do stołu.

– Zawsze – odparł Czarny. – I jutro pijemy za nasze.

– Może zatem jutro mi pomożecie – zaryzykował Kosma.

Znowu zapadła cisza. Przerwał ją Blizna:

– Pomogliśmy bardziej, niż ci się wydaje.

Policjant machnął tylko ręką i ruszył w stronę kwatery, chyba było za późno na cmentarne wizyty. Zresztą może poprosi Maję, by go na spokojnie oprowadziła po wiosce? Albo tę kasjerkę?

Bezszelestnie wśliznął się do domu, gospodyni oglądała telewizję i cicho coś nuciła. Piwo nieco szumiało mu w głowie, ale otworzył kolejne. W końcu urlop!

Zamknął okno, bo ciągnęło zimno, po zachodzie słońca maj ponownie przypominał, że to dopiero wiosna. Gdyby tego nie zrobił, może i zmarzłby, ale pewnie usłyszałby też kroki osoby, która chodziła w nocy pod jego oknem.



Ksiądz proboszcz Stefan Maciejewski mocniej otulił się kocem i dołączył sobie wiśniówki do herbaty. Maj był piękny tego roku, ale stare kości nie lubiły wieczornego chłodu, nawet najłżejszego. Gorąca herbata rozgrzewała, a naleweczka dodatkowo przyjemnie rozlewała się po żołądku, kołysała nieco nerwy.

Kosma Ejcherst. Czy to jest ten człowiek, którego obawiał się przez całe życie, z każdym rokiem coraz mocniej? Czy przeszkodzi w jego pracy, w narzuconej mu przez Kościół pokucie?

Odkąd tylko objął parafię, zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później zjawi się ktoś, kto będzie zainteresowany tylko prawdą, nie będzie chciał słuchać o misji, o poświęceniu kapłanów, o służbie Bogu. O tym, że pełen grzechu młody ksiądz trafia na parafię w odległym zakątku kraju, by opiekować się innymi grzesznikami, pomóc im w zrozumieniu zła, jakie czynili, w pokucie, żalu za grzechy, zadośćuczynieniu i przez kolejne trzydzieści lat poświęca się tej misji bezgranicznie.

Przez pierwsze dziesięć lat posługi na tej parafii czuł tak jakby pod skórą, że ktoś się kiedyś zainteresuje Wnykami. Ale jak szybko mija dziesięć lat, wiedzą tylko ludzie po sześćdziesiątce.

Kolejna dekada to już lekki niepokój, który nasilał się z każdym turystą przybywającym do ich wsi. Na szczęście było ich niewielu, jedyna kwatera znajdowała się u Walasiakowej, a i tak przez większą część roku tylko zbierała kurz.

Trzecia dziesiątka to już pewność, że to nie może trwać wiecznie, mimo świadomości, że przecież ciągnęło się od tak dawna, wielu pokoleń połączonych we wspólnej misji. Tak przynajmniej mu się wydawało, tyle zdołał wyczytać w księgach parafialnych.

Trzecia dekada przynosiła niespodzianki, zachwiania i już wyglądał finału, jak czeka się na zamówioną przesyłkę. Która chyba w końcu do niego dotarła.